

1945: znad Wisły na Ural. Losy ostatnich radomskich łagierników

W okresie okupacji Radom był stolicą jednego z dystryktów Generalnego Gubernatorstwa. Jesienią 1944 r., gdy front ustabilizował się na linii Wisły, niemieckim przygotowaniom do obrony towarzyszyła ewakuacja największych zakładów przemysłowych i niektórych urzędów, połączona z nieustannym terrorem wobec polskiej ludności. Do domów zaczęli powracać żołnierze Armii Krajowej, którzy wzięli udział w Akcji „Burza”, do miasta i okolic przybyły też tysiące mieszkańców Warszawy, wypędzonych po kapitulacji Powstania. W mieście działali aktywnie członkowie sowieckiego kontrwywiadu, gromadzący informacje na temat wszystkich osób mogących zagrozić „nowemu porządkowi”.

14 stycznia 1944 r. wojska I Frontu Białoruskiego przystąpiły do zmasowanego natarcia, przełamując szybko niemiecką obronę. Następnego dnia po południu pierwsi czerwonoarmiści dotarli na przedmieścia Radomia. Walki o miasto toczyły się przez całą noc i w następnych godzinach. 16 stycznia sowieckie czołgi przebiły się do śródmieścia, a po południu w Radomiu nie było już Niemców za wyjątkiem tych, którzy dostali się do niewoli.

Major Wołkow zaprasza

Ranek 17 stycznia 1945 r. rozpoczynał nowy rozdział dziejów miasta. Tego dnia do drzwi wielu mieszkań zapukali sowieccy żołnierze. Bardzo uprzejmi i rzeczowi, prosili wybrane osoby o udanie się z nimi na krótką rozmowę, mającą na celu przekazanie nowym władzom informacji o życiu miasta w okresie okupacji. Wizyty takie miały miejsce w domach pracowników zarządu miejskiego, oficerów Policji Polskiej (tzw. granatowej), funkcjonariuszy straży więziennej, nauczycieli, przemysłowców. Wielu z nich było zaangażowanych było w działalność konspiracji.



Przedstawiciele władz Radomia i żołnierze sowieccy podczas sadzenia „Drzewa Wolności”, upamiętniającego walkę Armii Czerwonej o miasto (wiosna 1945 r.) Fot. ze zbiorów Muzeum im. Jacka Malczewskiego w Radomiu.

W tym samym czasie prezesa Sądu Okręgowego w Radomiu Adama Bobkowskiego poproszono, by zorganizował zebranie wszystkich pracowników wymiaru sprawiedliwości, gdyż chciałby spotkać się z nimi komendant wojenny miasta major Iwan Wołkow. Zachętą do uczestnictwa była informacja, iż sowieci przydzielą osobom znajdującym się w najtrudniejszej sytuacji materialnej poniemieckie mieszkania.

Żadna z osób zaproszonych na rozmowę nie spodziewała się podstępów. Na centralnych ziemiach polskich nie wiedziano jeszcze nic o metodach stosowanych przez sowiecką policję polityczną. Wymownie po dziś dzień brzmią wspomnienia Janusza Szlesińskiego, którego ojciec – sędzia radomskiego sądu okręgowego – udał się na spotkanie z majorem Wołkowem. Jak opowiadał po latach, w kilka godzin po wyjściu ojca z domu jego bliskich odwiedził kuzyn, który przeżył okupację sowiecką na Kresach Wschodnich. Gdy usłyszał, że sędzia został zaproszony na rozmowę z komendantem, skwitował to krótkim, dobitnym stwierdzeniem: „Już go więcej nie zobaczycie”.



Komendant Wojenny Miasta Radomia major Iwan Wołkow. (fot. Archiwum Państwowe w Radomiu)

Jak wiemy już dzisiaj, sowieccy żołnierze krążący po mieście nie byli frontowcami, ale funkcjonariuszami kontrwywiadu wojskowego („Smiersz”) I Frontu Białoruskiego. Przetrzymywali oni zatrzymane osoby w różnych opuszczonych budynkach na terenie miasta.

Skłonili też kilkudziesięciu pracowników wymiaru sprawiedliwości do pozostania do późnych godzin wieczornych w budynku sądu. Gdy zbliżała się północ, kierujący akcją oficer podjął decyzję o jej zakończeniu. Wszyscy adwokaci i niektórzy urzędnicy sądowi zostali zwolnieni. Pozostałych załadowano do samochodów ciężarowych i przewieziono do budynku będącego siedzibą niemieckiej policji porządkowej. Tam więźniowie zostali zamknięci w pomieszczeniach biurowych.

Droga w nieznane

Radomianie aresztowani przez „Smiersz” spędzili kolejne dni w atmosferze strachu i niepewności. Podczas rewizji zabrano im dokumenty i pieniądze, pozwalając jednak zatrzymać np. różańce. Chociaż sowieci przesłuchiwali więźniów, były to krótkie rozmowy, koncentrujące się na sprawdzeniu personaliów aresztowanych.

W nocy z 19 na 20 stycznia 1945 r. wszystkich więźniów zebranych z najróżniejszych miejsc odosobnienia na terenie miasta zmuszono do wejścia na ciężarówki. Konwój samochodów wyruszył w drogę przez wyludnione miasto, a później przez jego okolice. Prawdopodobnie sowieci obawiali się, że aresztowanych będą chcieli odbić ich towarzysze z konspiracji. Samochody wyjechały najpierw na drogę prowadzącą do Kielc, a następnie zawróciły, jadąc w kierunku Warszawy. W końcu znalazły się na trasie prowadzącej do Lublina.

Wśród aresztowanych panowała apatia – wszyscy byli przekonani, że jadą na miejsce straceń. Niektórzy modlili się, a inni myśleli, jak przekazać bliskim informacje o ostatnich godzinach swego życia. Nastroje poprawiły się, gdy kolumna przejechała przez Zwoleń, a następnie dotarła do Puław, przekraczając most na Wiśle. „Dozorujący żołnierz zapewniał nas, że jedziemy za Wisłę, do Kazimierza” – wspominał sędzia Julian Maliszewski. „Tam będziemy mieli wygodne mieszkania. Będzie tam łaźnia, będą mogły – jak się wyraził – przyjeżdżać do nas w odwiedzinach nasze baby... Twierdził, że będziemy sądeni: za co – nie potrafił wytłumaczyć. Otrzyma każdy z nas po roku albo po dwa lata więzienia, a poza tym nic złego nam się nie stanie. Jednym słowem: pocieszał nas. Oczywiście nikt tej gadaniny nie brał na serio. Uważaliśmy ją za naiwne kłamstwo, lub wręcz za kpiny”. Jeszcze zanim nadszedł świt samochody zatrzymały się i więźniowie usłyszeli komendę: „Wychodzić i ustawiać się parami”.

Obóz w Przylęku

Jak okazało się wkrótce, aresztowanych przywieziono do Przylęka – niewielkiej wsi na Lubelszczyźnie, leżącej między Garwolinem a Dęblinem. Znajdujący się tam folwark został przekształcony przez Sowietów w prowizoryczny obóz jeniecki – cały teren otoczono zasiekami z drutu kolczastego, w dworku znalazła siedzibę komendantura, a budynki gospodarcze przeznaczono dla aresztowanych. Więźniów poddano szybkiej selekcji – kobiety i chorzy mężczyźni trafili do czworaków, natomiast pozostali do chlewów i obór.

Warunki bytowania w obozie były skrajnie trudne. Aresztowani byli zazwyczaj osobami w zaawansowanym wieku, co zwiększało ich podatność na choroby. Najważniejszym sprzętem w każdym pomieszczeniu stawał się zatem tzw. koza – prymitywny piecyk, umożliwiający choćby krótkotrwałe ogrzanie się i przygotowanie gorących posiłków.

Do radomian dołączyli wkrótce Polacy aresztowani przez Sowietów w Garwolinie, Skierniewicach, Żelechowie i innych miejscowościach. Byli przedstawiciele inteligencji, w dużej części należący do Armii Krajowej. Wraz z nimi przetrzymywano Niemców, a także własowców. W obozie znalazło się według różnych świadectw od 300 do 700 osób.

Oddajmy raz jeszcze głos sędziemu Julianowi Maliszewskiemu:

„Po apelu, trwającym bez mała godzinę, otrzymywaliśmy gotowaną na podwórzu pod namiotem kawę i do tego dwa zapleśniałe suchary. Piliśmy tę brunatną, gorzkawą lurę z wydanych nam puszek po konserwach. Żadnych naczyń, jak kubków, łyżek, misek w obozie nie było. Około godziny 14.00 wydawano obiad. Każdy z nas otrzymał do tej samej blaszanki jakąś lurę, zwaną zupą. W tej zupie można było wyłowić dwie, trzy łyżki niedogotowanego pęczaku lub pszenicy. Szczęśliwcy znajdowali parę kostek kartofli. Wieczorem znowu kawa i dwa suchary. Do gotowania kawy i zupy używano jakiejś cuchnącej wody ze studni znajdującej się między oborami. Następstwem tego wiktury była powszechna biegunka. Oprócz tego, przebywanie w chłodzie i przejmującej wilgoci oraz w zadymionym stale chlewie miało ten skutek, że każdy z nas nabawił się bronchitu. Ludzie dławili się wprost suchym kaszlem. Szczególnie kaszel dawał się we znaki nocą. O umyciu, czy też goleniu się nie było mowy. Brudni, zarośnięci, kaszlący, chorzy na biegunkę, ślanialiśmy się jak cienie. Stało się wyraźnym, że skazano nas na zagładę”.

Co noc wybranych więźniów zabierano do budynku komendatury na przesłuchania. Każdy musiał powtarzać wielokrotnie swój szczegółowy życiorys, a także odpowiadać na pytania dotyczące wydarzeń z lat okupacji. Chociaż aresztowanych nie bito, rozmowy te pogłębiały apatię i niepewność co do przyszłości.

Na szlaku do Dębłina

Chociaż świadkowie zapamiętali, że w Przyłęku zmarło kilka osób, a co najmniej jedna została zastrzelona przez strażników pilnujących ogrodzenia, personalia tych ofiar pozostają po dziś dzień nieznane. 13 lutego 1945 r., jeszcze przed świtem, więźniów poinformowano, że obóz zostaje zlikwidowany, a oni zostaną umieszczeni w innym miejscu. Ustawieni w kolumnę więźniowie zostali poprowadzeni na południe, otrzymując nakaz zachowania całkowitego milczenia. „*Eskortujący nas żołnierze na zapytania spotkanych po drodze ludzi odpowiadali, że jesteśmy aresztowanymi folksdojczami. Ci patrzyli na nas z nienawiścią, zaś w jakiejś wsi, gdy przechodziliśmy obok szkoły, dzieci obrzuciły nas kamieniami*” - wspominał jeden ze świadków. Po wielu godzinach intensywnego marszu kolumna dotarła do miasteczka Ryki, gdzie więźniów zapędzono do opustoszałych baraków wojskowych.

Po pewnym czasie strażnicy zaczęli wywoływać z baraków pojedyncze osoby, odczytując z kartek ich imiona i nazwiska. Każdego z takich więźniów prowadzono do budynku, w którym za stołem urzędował jeden z oficerów nadzorujących wcześniej obóz w Przyłęku. Zastosowana procedura była w każdym przypadku identyczna – więźnia informowano, że śledztwo nie ujawniło żadnych dowodów jego „zbrodniczej działalności” przeciwko Armii Czerwonej, w związku z czym zostaje zwolniony, może wracać do domu i pracować nadal w swoim zawodzie. Kolejnym etapem było podpisanie formularza, w którym więzień oświadczał, że Sowietom obchodzi się z nim nienagannie, a on sam zachowa ścisłą tajemnicę na temat swych przeżyć. Rozmowę kończył odbiór rzeczy osobistych. Chociaż zwalnianym zwracano wieczne pióra, zegarki itp., nie oddano im żadnych dokumentów osobistych, ani też pieniędzy.

Nie wiadomo, ile osób odzyskało wolność w takich właśnie okolicznościach i jaki „klucz” zastosowali sowieci zwalnając więźniów. Spośród około 100 osób aresztowanych w Radomiu, uwolnionych zostało tylko kilku sędziów i prokuratorów, m.in. Adam Bobkowski, Teodor Osten-Sacken, Witold Prądzyński i Julian Maliszewski. W obozie pozostali nadal wszyscy ci, którzy przyznali się do działalności konspiracyjnej w okresie okupacji, lub też do utrzymywania ze względu na swą pracę – np. w zarządzie miejskim Radomia, policji „granatowej”, czy też straży więziennej – kontaktów zawodowych z Niemcami.

Sowieci zdecydowali się zatrzymać nadal wszystkie osoby urodzone w przedrewolucyjnej Rosji, a także pracujące w okresie międzywojennym na Kresach Wschodnich. Wymowne są losy sędziego Teodora Dedewicza, który spędził dzieciństwo i młodość w Rosji, a polskie obywatelstwo uzyskał w 1922 r. Za tę „zdradę” skazano go na 10 lat obozu pracy.

Jeszcze tego samego dnia ich wszyscy niezwolnieni zostali przeprowadzeni w kolumnie z Ryk do Dębłina i tam uwięzieni w wagonach towarowych stojącego na boczniczy pociągu. 15 lutego 1945 r. wyruszył on na wschód.

W łagrach Uralu

W pociągu, który odszedł z Dębłina znalazło się ponad 1 tys. więźniów. Zdecydowaną większość spośród nich stanowili Polacy aresztowani przez „Smiersz” w różnych miejscowościach i przetrzymywani w tymczasowych obozach, takich jak ten w Przyłęku. Wycieńczeni warunkami uwięzienia, stłoczeni w słabo ogrzewanych wagonach, nieustannie głodni i pozbawieni opieki medycznej, zapadali na najróżniejsze choroby. Bardzo szybko w licznych wagonach zaczęto odnotowywać przypadki zgonów. Jednym ze zmarłych był sędzia Zygmunt Szlesiński.

Po wielu dniach transport dotarł do Moskwy i po przejechaniu jej ruszył dalej. Na jednym z odcinków między peryferyjnymi stacjami pociąg zatrzymano, a konwojenci dokonali przeglądu więźniów, zabierając w wagonów osoby najbardziej chore i nie rokujące nadziei na wyzdrowienie. Mężczyzn ułożono na nasypie kolejowym, a jeden z konwojentów rozstrzelał ich z broni krótkiej. W ten sposób zginął m.in. sędzia radomskiego sądu okręgowego Andrzej Batycki.

Transport dotarł do miejsca przeznaczenia w miesiąc po opuszczeniu Dębłina, czyli 15 marca 1945 r. Punktem docelowym był „obóz filtracyjny” o numerze 0302, znajdujący się w Biereznikach koło Permu na Uralu. Najbardziej chorych zesłańców skierowano od razu do lazaretu, a innych do łagrowych baraków. Koszmarne warunki uwięzienia i transportu, skrajne wycieńczenie organizmów i brak nadziei na przyszłość sprawiały, że liczni z radomian zmarli już tutaj. Następnego dnia po dotarciu do łagru śmierć zabrała Stefana Dobrzańskiego, w kwietniu 1945 r. życie zakończyli m.in. sędziowie Karol Bulczyński, Józef Dziurzyński, Józef Paluszak i sekretarz sądowy Bolesław Piwowarczyk. To tylko kilka nazwisk z długiej listy pierwszych ofiar deportacji.

Ci, którym udało się przetrwać pierwsze tygodnie zesłania zostali wkrótce rozproszeni po różnych łagrach, wykonując niewolniczą pracę w kopalniach, przy wyrębie lasów oraz spławianiu drewna korytami rzek. Śmierć zbierała wśród nich krwawe żniwo. Już w maju 1945 r. w łagrze w Artiemowsku zmarł sędzia Karol Jankowski. W rok później w nieznanym miejscu zmarł sędzia Teodor Dedewicz, a w tym samym okresie w łagrze Ałtanyj koło Swierdłowska zakończył życie Karol Stankiewicz. Miejscem szczególnych cierpień okazał się

obóz w miejscowości Baskaja, gdzie życie zakończyło wielu radomian, m.in. absolwent uniwersytetu w Kijowie sędzia Eugeniusz Witowski. Ich przyjaciele i znajomi każdego dnia walczyli z głodem, chorobami i prześladowaniami strażników.

Trudne powroty

Bliscy osób aresztowanych w Radomiu i okolicach przez „Smiersz” nie mieli jakichkolwiek danych o ich losach, poza lakonicznymi informacjami przyniesionymi przez więźniów uwolnionych w Rykach. Zbiorowe petycje kierowane do ministerstw i najróżniejszych instytucji pozostawały bez jakiegokolwiek odpowiedzi. Nadzieje na spotkanie mężów, ojców i braci ożyły dopiero jesienią 1947 r., kiedy to do Radomia zaczęły docierać wieści o powrotach do Polski osób więzionych na Uralu. W pierwszych dniach listopada 1947 r. z pociągu na radomskiej stacji wysiedli dwaj sędziowie, byli łagiernicy – Jarosław Dubrzyński i Tytus Kaun.

„Gdy ojciec powrócił do domu był tak zmieniony zewnątrz, że nie mogliśmy go poznać. Przy swoim wzroście 188 cm ważył zaledwie 47 kg, był owrzodzony na całym ciele, miał rany do kości na nogach” – wspominała córka sędziego Dubrzyńskiego.

Do domów dotarło jeszcze kilku innych więźniów – kapitan policji „granatowej” Franciszek Troll (w okresie okupacji żołnierz Armii Krajowej, zaangażowany w pomoc dla ludności żydowskiej), sędzia Franciszek Kaniewski, strażnicy więzienni Teodor Bochenko i Józef Gajewski. Każdy z nich mógł mówić o ogromnym szczęściu. Jak wiemy już dzisiaj, niektórzy z łagierników zakwalifikowani do powrotu trafiali na „kwarantannę” w Brześciu nad Bugiem, skąd niektórych z nich przewieziono z powrotem do obozów.

Ś. P.

PAMIĘCI SĄDOWNIKÓW RADOMSKICH
PODSTĘPNIE ARESZTOWANYCH
17 STYCZNIA 1945 R. PRZEZ NKWD
NASTĘPNIE WYWIEZIONYCH DO OBOZÓW
URALU I SYBERII I TAM ZAMĘCZONYCH

SĘDZIOWIE

BATYCKI ANDRZEJ
BULCZYŃSKI KAROL
DEDEWICZ TEODOR
DOBRZAŃSKI STEFAN
DOMAGAŁA TADEUSZ
DZIURZYŃSKI JÓZEF
JANKOWSKI KAROL
KANIEWSKI FRANCISZEK
PALUSZEK JÓZEF
PIWOWARCZYK BOLESŁAW SEK.
STANKIEWICZ TADEUSZ
SZLESIŃSKI ZYGMUNT
SZYDŁOWSKI BOLESŁAW PROK.
WITKOWSKI EUGENIUSZ

MAJ 1990 R.

Tablica w budynku Sądu Okręgowego w Radomiu, upamiętniająca prawników deportowanych na Ural (fot. Sebastian Piątkowski)

Większość z tych, którzy uniknęli wywózki na Ural, czy też powrócili z łagrów, starali się „zniknąć z oczu” komunistycznym władzom. Służyły temu wyjazdy na stałe na Ziemię Odzyskane oraz nieangażowanie się z życia społeczne. Pamięć o tragedii, która dotknęła wiele radomskich rodzin, związanych zwłaszcza z wymiarem sprawiedliwości, była kultywowana m.in. dzięki Jarosławowi Dubrzyńskiemu, który informował rodziny zmarłych łągierników o ich losach. Po długotrwałej rekonwalescencji pozwolono mu w 1950 r. powrócić do wykonywania zawodu i szkolić młodych prawników. Gdy w kilkanaście lat później sędzia zmarł, w jego pogrzebie wzięły udział tysiące osób, a władze zezwoliły na przejście konduktu pogrzebowego przez całe miasto.

Wydarzenia, które rozegrały się w Radomiu w 1945 r., tworzą tylko jedną kartę historii sowieckich represji. Aresztowania prowadzone przez „Smiersz” miały miejsce także w Kielcach, Skierniewicach i wielu innych miastach. Oczekują one wciąż na wnikliwe przebadanie i opisanie.